Zmierz nasze Słońce.
Uśmiech Sokratesa!

JWielmożnemu Panu,
P. Dr. Karolowi Wachtlowi,
red. Dziennika Chicagoskiego,
w dowód serdecznej przyjaźni i braterstwa
wiary —
Michał Asanka-Japoll.

UŚMIECH SOKRATESA

(HERMA WATYKAŃSKIEJ RZEŹBY)

Kraków, Zielona 20, Io
7. VII. 922.

TEGOŻ AUTORA

„TOPIELICA"
(ROMANS)
W DRUKU.

GENIUSZ HENRYKA SIENKIEWICZA
(1917).

MICHAŁ ASANKA JAPOŁŁ

UŚMIECH SOKRATESA

NOWELE

KRAKÓW
NAKŁAD KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO
dawniej
KSIĘGARNIA SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

Janinie,
żonie mojej najukochańszej
poświęcam.

UŚMIECH SOKRATESA.

W mrocznem wnętrzu więzienia ateńskiego, leżał na tapczanie człowiek. Ludzkość miała dlań tosamo współczucie, co i dla oswojonych psów domowych, tylko tamtego się bała, ostatnich kopnie spokojnie, by tylko z skowytem zdradziły swoją bólu dolę... Ach! ludzkość, dla której snuł na wrzecionach duszy przędzę nie nitek rwanych, ale tych spoideł, jakiemi można myśli ludzkie spajać — ta ludzkość, która pragnie i nienawidzi równocześnie wszystkiego, co ją zniewala do wyzwoleniowej myśli, a dla której, po wielkim Buddzie, myślał, wielki Sokrates! więziła go za rzekomą obrazę bogów, zepsucie młodzieży i swój obrażony kaprys, że ktoś może jej prawdę mówić, kiedy ona żyje kłamstwem i podłą rzeczywistością...

Ale Sokratesowi tak dobrze na tapczanie, jakby królowi w wytwornym pałacu, nie jeszcze półbarbarzyńskiego Greka podówczas, ale wykwintnego, przeżartego kulturą assyryjczyka, czy króla perskiego, który jednak przeniósł w cichości ducha jego prostotę i wielkość, nad tę zepsutego owocu treść życia w bez-

myślnej rozkoszy, w pałacu złotym i gwieździstym...

Grecy już nawykli do tego trybu, nie dali się ujarzmić, ale usidliła ich lekkość, pustka, w bezmyślnej upojeń rozkoszy... Tylko nie trzeba myśleć o tem, a ten, ktoby się ważył, niech zginie, niech wypije puhar trucizny, bogom w ofierze! — — —

Za ich głupotę, za ich życie rozpusty, musiał ktoś ponieść karę. Wszak to w nieskończonym równoważniku czynów ludzkich, tak być musi!

Wiedział o tem Sokrates!

Ale cóż go obchodziło życie: on rozwiązał jego zagadkę w jednem: „poznaj siebie samego“ — — — „i nic ponadto“. — — —

A poznanie śmiercią się kończy.

Budda już za swych czasów marzył myślami obłocznego, legendarnego człowieka-boga Sokrates skromniejszy, cierpiał wielobóstwo, nosząc w poznaniu samego siebie, własnego boga, jedynego i nic ponadto...

A to, co czuł na dnie poznanego boga, tem dzielił się z swoimi przyjaciółmi, których kochał, jak się w państwie winno kochać wszystkich, choćby najgorszych, dla jedynej miłości, w sobie poznanego boga.

Bo Bóg jest tem poprzez wszystko, wszystkiem!. Ale go poznać trzeba! Wiedział Sokra-

tes, że Plato, jego jedyny przyjaciel po myśli i głębokiej treści życia, ujmuje w jego arystokratycznej, bogatej duszy boga od najprymitywniejszych zagadnień, aż do ostatecznej w rozwiązanej duszy, i życia, nawet pozagrobowego.

A, że Kebes potrafił tylko, jak w ubogiej ducha głupocie, przytaknąć, co czynił każdy Ateńczyk, kiedy mu dobrze odmierzono mąkę i oliwę, Sokrates nie dziwił się: wszak obok pereł, leżą na wybrzeżu zdechłe, w żywocie poronionego tworu, ślimaki, wypełzły pod słońce, ale aby tylko potwierdzić mocą faktu, jego istnienie... Słońca nie znają!

Raz powiedział do Fedona na ulicy: „Kebes niczem nie różni się od miary na oliwę". Ale go lubiał! Sokrates go nawet cenił, bo w jego głupocie, by w zadymionem zwierciedle brudnej wody toni, odbiła się nieraz silniej prawda, od w tych powierzchniach chwilowo czystej wody, jaką za dotknięciem, mąci, w głębi ukryty muł i kał...

W przededniu swojej śmierci spokojnej, wyzwoleniowej, rozmawiał Sokrates długo, dzieląc się raz ostatni swoją duszą, by na cząstki podartą, z przyjaciółmi. Chciał im dać to, co może dać wielka miłość-przyjaźń, w tej bogatej opowieści tajemnic życiowych drugim, aby

ich nierozerwalnie, nawet przez śmierć złączyła w ludzi dla ludzkości.

Wszyscy go słuchali — nawet Kebes, miał milczenie na ustach, bez gadatliwej możności, by demagoga, w każdem zapytaniu, choćby nie do jego myśli skierowanem, bez odpowiedzi słów, ale tej głębokiej zachwytu.

Fedon patrzył w jego oblicze, jakby mu wizya zrodziła najcudniejszy obraz człowieka, który mając duszę, miał prawo o niej dysputować. Simmias patrzył jedyny raz w życiu okiem duszy, bo dotychczas ślepota, równa ówczesnej ateńskiej, łuszczką mu okryła źrenicę i nie był w stanie spojrzeć w głąb, ani też z wnętrza dobyć okiem temżesamem obrazu myśli!

Sokrates w przedziwnym humorze, krasił swoją mowę uśmiechem, jaki mają bogowie w legendach egipskich, lub Budda, siedzący w samotnej gontynie swojej świątyni!

Dziwili się wszyscy: — „przed śmiercią i śmieje się" — ktoś szepnął trwożnie, a Sokrates, usłyszawszy odpowiedział:

— „Przyjacielu! Poznaj samego siebie! a zaśmiejesz się tak, jakbyś w nowonarodzonej postaci rozpoczynał życie... nie kończy się ono ze śmiercią, lubo przywykliśmy za egipcyanami wierzyć, że prawdy poznanie, jest śmier-

cią... Bynajmniej: drugiem życiem, wyzwoleniowem!“ — — —

A na jego obliczu spoczął tak nieopisany uśmiech, że w momencie nikt nie śmiał pary z ust wypuścić, a tylko patrzył w oczy, jak ci, co przed świątynią w Delfach, ogarnięci czarem utajonego bóstwa w oparach, niemo słuchali wyroczni!

Sokrates był dla nich wyrocznią nowego życia.

I dalej mówił im: „Ktokolwiekby z was szukał życia w samym sobie, będzie wybranym z pośród tych, którzy je gubią... A wierzcie mi, życie, to dar nad dary, ale tylko w poznaniu samego siebie. Nie będziecie czynić wbrew jego woli, nie będziecie tamować rozwoju, ale wespół z poznanym bogiem, zobaczycie, że życie poznania, jest prawdą, a prawda życiem... i odpadną wszystkie cierpienia, a choćby ktoś z was leżał na tapczanie, w obliczu śmierci, będzie śmiał się w poznaniu boga i życia wyzwolonego“...

— „Mistrzu, nie odchodź od nas!“ — ktoś błagał a inni całowali jego szaty, powtarzając korną, z ich serc prośbę.

— „Chcielibyście dogodzić swojej egoizmu zachciance... nie! spełnię puhar trucizny, bo chcę dać dowód, że mówię nietylko słowy wylęknionego człowieka o każdą drobnostkę, ale

potwierdzam wszystko czynem. W ich mniemaniu — sędziów moich — zawiniłem, państwo karze mię, więc ofiara za winę... a wy, nie zostaniecie osamotnieni, będę z wami, jak myśl niezaginiona, kiedy się ją przez siebie w drugim poznało"...

A dokoła ust zaigrał uśmiech króla życia i śmierci w ich samopoznaniu! Bo życie ukochał, a przez nie, jego poznanie; śmierci się nie lękał, więc tylko śmiech słoneczny odblask życia duszy, zdradziło królewską naturę człowieka-Sokratesa.

A potem prawił im kroć razy powtarzaną mowę o duszy, bo nie chciał odchodzić od nich, nie ostawszy w nich samym sobą. Ujawniła się ta moc wielkiego ja sokratesowskiego; Fedon, by językiem mistrza mówił, czuł Platon, że przecież Sokrates w nim żyje, a przezeń, poprzez wyczute poezyą życia natchnienie, pisał hołd jego myśli. — — —

Wszyscy tworzyli z nim coś nierozerwalnego w tej przebogatej, dostojnej wyrazu powadze, w słonecznym uśmiechu szczęścia, że przecież poznanie samego siebie, jemu zawdzięczają, a lubo mistrz odejdzie, nie uronią nic, coby ich na wieczność z nim złączyło!

— „Pózno już, a wnet straż wam się oddalić każe", — powiedział Sokrates, który po wyczerpaniu rozmowy, zwłaszcza przed śmiercią,

pragnął królować w samotności. Ktoś jęknął cichym, dławionym płaczem. A Sokrates śmiechem oblicza żegnał ich: „— Nigdy bez was nie żyłem, więc chowajcie moją przyjaźń, moją z wami duszę — a wcale nas śmierć nie rozłączy“. — — —

Zarówno z własną żoną, dziećmi żegnał ich, z pogodą, jakby znów ranne słonko witało ich wspólnie, po przespanej, w marzeniach nocy.

Odeszli, pozostał sam!

Do pustej, osamotnionej celi, wkradał się szarawy, potem coraz silniejszy mrok, walcząc, szamotając się z resztkami bezsilnego światła. Coś było w nim z powabu ciemnej nieskończoności, która protestuje słońcu, jak słowo wielkiego filozofa, w tej zwycięzkiej mocy ponad wszystkiem. Poza nią, poza tą nocą, życie uśmiechów słonecznej fali płynie, by ryk morza w pyrejskim porcie, gdzie niedawno zawinął statek z ocalałymi skarbami morskimi.

Sokrates dumał i myślał zarazem, niepomny, że maluczko, a ma wypić podany puhar trucizny.

Śmierć go odwiedziła. Znał ją, nie lękiem upiornego oblicza, któreby go o drżenie przyprawiło, ale pogodą uśmiechu, spytał się jej, czy to ona, co go wyzwala?

Wyobrażenie Greka o młodzieńcu z klepsy-

drą, znał Sokrates i taką widział, swoją wybawczynię.

— „Spokojnie mię witasz!“ — pomyślał.

— „Wszak cię znam, jako i ty mnie — bynajmniej w grozie lęku, ale w spokoju, wchodzę do cię, ja, kochanka życia, ale tych, którzy mię zarówno z niem poznali“... szepnęła śmierć, jak dziecko w kwileniu swojej rodzicielce.

— „A czy ty istotnie wyzwalasz?“ — zapytał w duszy Sokrates — „bo czasem, jam człowiek z krwi i kości, wątpię, jak każdy od stworzenia wątpił w wszystko, co go o myśl niepoznania przyprawia?“...

— „Wyzwalam mocnych, którzy mię znają, daję prawdę poznania“. — — —

— „Więc tyś, prawdziwą kochanką życia!“ — zaśmiał się Sokrates.

— „Poznałeś mię, więc odchodzę, kiedy przywołasz, wyzwolę cię!“ — — —

— — — — — — — — —

Sięgnął później Sokrates, z uśmiechem po puhar, nakazawszy Eskulapowi ofiarę z koguta, również się śmiejąc, by wypić truciznę, spełnić ofiarę, jakiej żądało poznane życie przez śmierć.

Kiedy w umarłego patrzyli przyjaciele, nikt nie chciał wierzyć, że Sokrates nie żyje, a Ke-

bes, bez trwogi zawołał: — „Nie umarł, śmieje się do nas.“ — — —

Śmiało się życie poznania w wyzwolonym człowieku — Sokratesie.

MARZENIE SCHUMANNA.

(F—dur.)

Późnym wieczorem, kiedy mrok niepostrzeżenie wyławiał resztki światła, skończył swą pracę młody Litwiński. Niezaschnięte kartki papieru dowodziły o tej gorączkowej, wysiłku pracy! Jako uczeń szkoły leśniczej, badając właściwości krajowego drzewa, sporządził systematycznie ułożony spis, dowodząc jakości materyału oraz wszystkich składników, wykazał — ku zdumieniu tych wszystkich, którzy ganią wszystko, co „swoje“, że nasze drzewa, zdatne nie tylko do budowy lichych chat wieśniaczych, lub gontyn kościelnych, ale można je zużyć do najwytworniejszych budowli, a nawet, według obliczeń chemicznych, odporniejszy materyał od zachwalanych, zagranicznych materyałów drzewnych...

Cieszył się tryumfem pracy, a nawet w przystępie dumy narodowej, był pewnym, że przerobi w opinii publicznej społeczeństwa na korzyść „krajowego drzewa“, że już zerwą z prze-

sądem: „co nasze, to najgorsze“... a dzięki jego pracy, będą się mnożyły fabryki mebli i przeróżnych wyrobów drzewnych. Jego wywód zapewni, w niedalekiej przyszłości dobrobyt tylu robotnikom, a równocześnie w kraju będziemy mieć z własnego drzewa, u nas wyrabiane, sprzęty, dekoracye, kasetony itd. itd....

Spojrzał na własne biórko, przy którem pracował od tylu lat, jeszcze jako „pierwsze litery“, kreślący chłopaczek, na łupkowej tabliczce...

Tak, to po dziadku, pamiętające czasy polskie — „sprzęt z przeszłości“... aliści siedział na stołku z „firmy wiedeńskiej“ — — — Już byłby w pewnej pasyi „szewskiej“, połamał towarzysza również lat kilku, gdyby go nie oderwał silny dzwonek.

Wprowadził swojego przyjaciela, rówieśnika, skrzypka, Lipińskiego.

— „Wystudyjowałem dla ciebie: „marzenie Schumanna“, — o tej porze, kiedy już nie pracujesz, chętnie ci zagram, byś mógł pisać swój list do Jadźki“...

— W takt: „marzenia Schumanna“ — dorzucił Litwiński — „i to po ciężkiej pracy zawodowej“. —

— „Już skończona!“ — cieszył się Lipiński.

— „Tak — myślę, że swoje zrobi;“ odezwał się swem wyznaniem Litwiński. A po chwili,

kiedy zapalił świece w lichtarzach staroświeckich (nie lubił lamp!), dobył naprawdę listowego papieru, poczęstował Lipińskiego papierosem, przypatrywał się jego zawsze pięknej twarzy, przezwanej „obliczem młodego Apollina.“

Zagadnął go Litwiński: — „Jadźka prosi mię, abym nie zwlekał z przyjazdem, prawdopodobnie za tydzień wyjadę! Właśnie opiszę jej twój pobyt, o twojej muzyce no i wiesz — — — w takt „marzenia“, choćby od papierowej roboty nad przekonaniem ludzi do naszych, krajowych drzew“...

Lipiński dobywał ostrożnie skrzypiec z prawdziwą nalepką z „Cremony“, stroił je, nie bacząc na mowę o „lasach“, które dlań grały szumem stuletnich dębów, lub opowieściąbajką smrekowej choinki, a niekoniecznie ciekawiły wywodami przyjaciela, z zawodu „przyszłego leśniczego borów całej Polski“ — — — jak mu życzył Lipiński.

— „Posłuchaj „marzenia“, a potem, kiedy się udam na lekcyę, napiszesz swój list długi“.

— „Dobrze! graj tylko“... odrzekł rozentuzyazmowany leśnik.

Drgnęły pieśnią struny. By — na skraju lasu, powolnym szumem, aby powrócić z głębi ciemnej puszczy wichrem, szamotającej się myśli rozmarzonego kochanka, który snuł najcu-

dniejsze z marzeń, przy melodyach gry skrzypcowej, jakby wtórem swoich marzeń słonecznych... Nie gasił ich żaden słońca zachód, nie zdołał ich stłumić wichr, lubo drgały w półszepcie czasem, podobne do płaczu, kiedy się żegna ukochaną, lub zaklina słowy tajemnicy życiowej, jakąby człowiek rad w morzu tonów zatopić, aby nikt, okrom dwojga ludzi, o niej nie wiedział...

Litwiński odrazu innym człowiekiem przy tych tonach, jednak silny w tem, co postanowił, jak ton czystą, nieskalaną myślą w rytmie pieśni serc jego i Jadźki... Kochał swoją narzeczoną. W najstraszniejszym wysiłku kończył robotę, jaką miał się wykazać w ostatniej pracy, aby tylko Jadźkę sprowadzić do domu już „leśniczego", oddać jej pałac na skraju lasu i tam królować wespół z nią, w szczęściu tych, którzy, jak w „marzeniu Schumanna" ukochali przez ton, przez skalę uczuć, nieskończone bogactwo harmonii życia-poezyi.

Jaki był wdzięczny Lipińskiemu za godzinę marzeń, przy jego „skrzypcach"... Ale coś, by smętek mrocznej dali, drgnęło dyssonansem... Czyżby trzeba strunę stroić? bo nie zdołała wytrzymać całej, objętej uczuciem i wykończoną grę melodyi.

Litwiński, jakby starał się nie słyszeć chwi-

lowego zakłóconego w jego myślach dyssonansu.

Za tydzień wyjedzie; złożył już główny egzamin, pracę opublikują i nic nie zdoła zburzyć gmachu, zbudowanego z tak dobrych cząstek życia!

W tej chwili marzeń wysądował wszystko: może myślą serdecznych uniesień, ale tak szczerą, że nie wątpił, ni się wahał, co do przyszłości wymarzonej... A w muzyce drgały tony poprzez silniejsze „forte“ w spadzie cieniowanych tonów „pianissimo“, jakby od borów polskich, gdzieś hen ku południowej krainie wiosny wiecznej, gdzie kołysze się melancholijna pinja, lub cyprys marzy, na grobach-ruinach, wespół z przeszłością cmentarnej Italii...

Litwiński zamierzał, po ślubie, wyjechać z Jadźką pod włoskie niebo! Prosił Lipińskiego, aby powtórzył grę, bo nie chciał rwać nitek, tak lśniących w kolorowych marzeniach, przy migocie świec, a tam na sklepie gwiazd, w zapadającej nocy lipcowej. — — —

W półtorej godziny później, pisał Litwiński, w samotnym pokoju, arcydługi list, do swojej narzeczonej Jadwigi Gackiej.

Kończył go: „może to ostatni list naszego narzeczeństwa; już nie listy, ale słowy mówić będę tobie, ukochana! poprzez marzenia moje najczystsze, a tę harmonię zasłyszanych to-

nów, jakie drgają mi swojską pieśnią lasów i borów polskich, a nieskończone ich piękno, równe mej tęsknocie za tobą...

— — — — — — — — —

Upłynęło sześć lat. Litwiński nie urzeczywistnił swoich marzeń w takt muzyki Schumanna, tej poezyi F-durowej... Ojciec Jadwigi Gackiej, zrazu chętny węzłom swej córki z młodym, zdolnym leśniczym, kiedy mu zawrócili sąsiedzi głowę „młodym obywatelem ziemskim“, nie chciał słyszeć o Litwińskim, nie zezwolił na małżeństwo, zresztą nierównego kandydata dla córki pierwszego obywatela w kaliskiej ziemi...

W samotnej pracy, pogrążony w głuchej martwocie melancholijnego milczenia, żył Litwiński, zakochany w borach, które mu starczyły za wszystko.

Ostatnio zdecydował się na wyjazd z Lipińskim do Włoch. Chciał tam, „sub coelo alieno“, leczyć melancholię i spalić w żarze słonecznej spiekoty, swój ból nieszczęśliwego kochanka Jadwigi Gackiej.

Wyjechali obydwaj na dwutygodniowy pobyt do Rzymu. Było to w pierwszych dniach lipca. Litwiński znalazł zastępcę, mógł się wyrwać po sześciorocznej pracy. Zamieszkali w Rzymie, również przy pięknym: „piazza Venezia“, a po całodziennej wędrówce po stolicy

Włoch, wśród zwiedzań pamiątek „wiecznego miasta“, pod wieczór wpadali na polską gazetę do kawiarni „Faraglia“, gdzie koncertowała wyborna kapela.

Kiedy wstąpił do pensyonatu, aby się przebrać, wręczył mu służący obfitą pocztę. Przeglądał nerwowo gazety, szereg kartek, krótką wiadomość od swego zastępcy, nadto — uderzył go gruby pęk w paczce, a na nim adres, ręką Jadźki. — — —

W swym pokoju rozerwał pakiet, wysypały się listy: jego własne, listy miłosne, do Jadźki, oraz jej krótkiego, słowa:

— „Dziękuję za przesłaną korespondencyę moją; do życzeń stosownie, zwracam Panu jego, a nasze nici, jakieśmy nawiązali, uważam, że do niczego nas nie zobowiązują, kiedy ja wyszłam zamąż, a zapewne i o Pańskiem weselu się kiedyś dowiem. Z serdeczną dla niego przyjaźnią“: J. G.

Z dziwną obojętnością człowieka, który wiele w życiu przeżył, przeczytał lakoniczne słowa, Litwiński. Coś tam w duszy potrąciło o strunę wspomnień, ale po latach sześciu hart, wyrobiona wola, nie analizowały, roztkliwiając się w dokonanym fakcie, może przeznaczeniu gwoli, wobec którego człowiek bezsilnym...

Nie dzielił się wiadomością z Lipińskim, aliści w milczeniu, tłómacząc się zmęczeniem,

poszedł, aby posłuchać muzyki, którąby rozerwała myśli, chwilowo rozdartego serca...

Rozmawiali o ruinach rzymskiego „foro Romano“ — a nagle Lipiński natrącił mimochodem, coś, na tle wspomnień, kiedy to odwiedzał Litwińskiego, jeszcze przed sześciu laty...

Czytali potem dzienniki. Po długiej pogawędce, już mieli opuścić kawiarnię; Lipiński prosił: — „jeszcze niech nam raz zagrają!“ —

Właśnie utopił w wspomnieniach swe myśli, w pewnem skupieniu nadsłuchiwania, trochę smutny Litwiński, kiedy naraz zagrano: „marzenie Schumanna“...

— — — — — — — — —

Tej nocy nie zapomniał Litwiński, a lubo powrócił prędzej, aniżeli się spodziewał do swej pracy w borach, ilekroć mrokiem wracał w drewniany „pałac samotnika“, skądś dalekiem echem, niosło mu wiecznie jedną pieśń, by nierozerwalną z tęsknotą i bólem jego serca: „marzenie Schumanna“.

Z WŁÓCZĘGI MŁODEGO LITERATA.

Zostałem literalnie na wiedeńskim bruku. W ciemną noc deszczną wracałem z Prateru, aby wzdłuż domów osuszyć, względnie uchronić przemoczone do ostatniej nitki, części ubrania z pod „nieprzemakającej“ peleryny... Miasto uboższych dzielnic w obłędnym szale tańczyło i bawiło się w gospodach przy nieodstępnem „piwie“; dzień sobotni, zdaje się jedynem świętem robotnika! Wprawdzie przesypia „błękitny poniedziałek“, ale ucztuje i bawi się w sobotę...

Napotkałem poczciwego obywatela w mocnym stanie zaniepokojonej pamięci o drogę do swoich... Zagadnął mię, nawpół w bełkocie połykanych słów o ulicę, jakiej niezna żaden plan Wiednia, okrom warstwy pijaków i swawolnych niewiast... Nie mogłem się zoryentować, ale znając naturę pijaków, odpowiedziałem: „trochę w prawo, potem prosto i w bok na lewo“... To najwidoczniej ucieszyło Wiedeńczyka, bo prosił, abym mu towarzyszył.

Zgodziłem się! Aliści nie wiedziałem, jaka mię czeka Odyssea, z poczciwym pijanicą... Kiedyśmy uszli spory kawałek ulicy, w więcej ludnej części miasta, zaczepił nas „z mroczną obłoków pełną powagą dnia i nocy“ — (w pozie, z nieodstępnem cygarem w ustach!), pan życia, a nawet śmierci, stróż bezpieczeństwa, pytając, dokąd zdążamy o tej porze?

Ja — jako bezdomny, odpowiedziałem z bezczelnością: „do pałacu sprawiedliwości“ — a mój towarzysz nie rozumiejąc mych słów: „ja również tam“, — dodał. —

To zaniepokoiło „udekorowanego orderem pana“... Wziął nas pod pachę, prowadząc oczywista, gdzie przytułek bezdomnych, kłócicieli porządku społecznego itd.

Z wiedeńczykiem miał atoli przeprawę, bo przypomniawszy sobie, jakąś awanturę z „anno dazumal“ — kiedy go wiódł, zdaje się również „czarny syn pokoju“,... począł w dyalekcie tłomaczyć „ab ovo“ swoją niewinność... Wskazał na mnie, jako na świadka, ale nic nie pomogło. Obaj znaleźliśmy się w jasnej salce, po krótkiej wędrówce, w jednym z cyrkułów policyjnych. Tam zaczęła się indagacya, aż po udowodnieniu naszej niewinności, znów dyszeliśmy spokojem nocy, w pobliżu pałacu paragrafowego porządku.

Pożegnałem mojego towarzysza, jakoże na-

brał rezonu za wiele i perorował na temat sprawiedliwości, po dobrej, sowitej kolacyi..., aby zginął coprędzej w puchach domowego ogniska — a sam błądziłem w wypogodzoną noc po alejach, wzdłuż małego Dunaju, to znów dokoła gotyckiego tumu św. Szczepana. Lśniła cudowna struktura bogactwem tonacyi wieżyczek, a rozmach olbrzyma obejmowały w lekkim poszumie mgiełki, ażeby znów zamajaczyło ich piękno w bladej jaśni wypełzłego księżyca, który przy tym gotyku zdawał rozjaśniać pomrokę dziejów „ostrołukowego stylu"...

Dotarłem do małej uliczki, a na drzwiach widniał duży, wyraźny napis, że się poszukuje malarza pokojowego...

— „Wyborne" — pomyślałem! — „przecież nieźle maluję, zatem potrafię zarobić i wybrnąć z położenia nędzy, w beznadziejnem jutrze".

Poszedłem w głąb: „Volksgarten'u", przedarłszy się skrytką do wnętrza i gdzieś w otuleniu cudnych drzew, zasnąłem. Obudziłem się około 10-tej godziny, na krzyk dzieci, gdzie w ich „rejonie" spałem, jak Odysseusz... lub Guliwer w kraju liliputów. — — —

Nieopisany głód targnął mojemi wnętrznościami, ale jedyna myśl jasna, oto przeczytany afisz o pracy. Mimo cudnych dzieciaków, podążyłem w stronę miejsca wybawienia...

I przyszedłem w porę! Rozindyczony maj-

ster, że niema na kim wywrzeć swego gniewu, jakoś, gdy mi w oczy popatrzył, udobruchał się i zaraz rozpoczęliśmy dyskurs o pracy. Krótko: miałem wymalować na niepokalanie biały kolor 112 okien oraz 14 oddrzwi; po tej pracy, czekała mię trudniejsza, wykańczanie delikatnemi linijkami górnych kasetonów, na powale t. zw.: piano nobile", w sąsiedniej kamienicy, do której miał się sprowadzić, jakiś książe...

Praca szła nader szybko. Mój towarzysz, który malował desenie na ścianach i kończył stylizowane liście w rogach, przypomniał maszynę, której potrzeba ciągle naprawek, bo ustawicznie się psują jej wewnętrzne konstrukcye. Przytem śpiewał tak sprośne piosnki, że tylko z pogardą milczenia, towarzyszyłem jego pracy nie artysty, ale manekina na wystawie cyrkowej budy...

Po dwóch dniach byłem już „panem większej fortuny", a nawet złotej nadziei zarobku, bo zadowolniłem w pełni uznania mojego „mistrza".

Zacząłem malować i złocić kasetony. Jako do pracy, już lepiej płatnej, a nawet z mniejszym wysiłkiem muskułów, jakiej w nadmiarze potrzebowały okna i oddrzwia, ubrałem się odświętnie i z godnością arystokraty ducha —

malowałem, by wytworne freski w pałacu włoskiego: „principe“.

Kończyłem trzeci kwadracik, ozłociwszy delikatne brzegi i środkową gałkę, gdy wtem weszli z „mistrzem“, dostojni państwo: książe i jego kochanka!

Jakżeż cudne było oblicze tej pani... książęca kochanka o wyglądzie zaczarowanych królewn z bajki... Nie było nic zmysłowego w jej oczach, ale jakaś tajemnica kryła się za długiemi rzęsami, zaś w ustach drgał nie śmiech, ale słoneczny promyk skradzionego poranka w rozkosznem rozmarzeniu, jakby po pocałunku niewinnej kobiety, która okupiła nim właśnie tajemnicę poznania... Kiedy książę rozmawiał z „mistrzem“, zapytała mię księżniczka, coś na temat mej pracy, a kiedy jej odpowiedziałem, że Murillo również tak zarabiał, nim zaczął swe „madonny“ malować, z przenikliwością, spytała mię, czym istotnie robotnikiem?

Zarumieniłem się, a w odpowiedzi wyznawałem, że jakaś ananke niemiłosierna, ale i dobrotliwa, dała mi w ten sposób pełnię życiowego dosytu...

Znów się przedziwnie uśmiechnęła, a tajemnica jej skrytych w rzęsach oczu, drgnęła mimowoli odbiciem się czegoś wyczuwanego z mej duszy...

Na pożegnanie podała mi rękę. Ucałowałem ją z kortezyą średniowiecznego rycerza. Książe nie zawahał się mi również podać ręki.

Potem malowałem snem o księżniczce, czy kochance. (Prawda: od mojego „mistrza" dowiedziałem się, że była podobno „wykradzionem dzieckiem" — nie lada romans...) Zdało mi się, że złocę obrzeżki jej uśmiechem, a każdej gałce daję, by jeden odblask jej czaru, kiedy w nie patrzeć będzie: niechaj jej grają symfonię barwnej orkiestracyi tak, jak je uczuciem, z wytworną delikatnością ach! dla niej, dla niej malowałem... Ja, od wczoraj, malarz kasetonów w pałacu księżniczki!... po robocie muskularnego pobielacza futryn i oddrzwi dla jakiegoś burżuja wiedeńskiego...

A więc i za to nagroda!

Już moja praca, tym razem sowicie wynagrodzona, podobno z rozkazu księżnej-Pani, pozwalała mi korzystać z życia w dostatku. Odwiedzałem cesarską galeryę, godzinami się wpatrując w obrazy Rembrandta.

Mistrz światłocienia, wprost gieniusz w wydobywaniu tajonych reflexów, jakie obrazom nadają życia, pozwolił mi, przy spokojnej o jutrze myśli, wnikać w tajemnice wielkiego artysty. Rembrandt okazał mi najcudowniejszy świat bogatej duszy artysty, która kocha twór-

czą duszą barwę, w jej przedziwnym migocie, a tak nieskończonej harmonii piękna...

I rozpoczęły się dla mnie dni kontemplacyi duchowej w pracy nad malarstwem, historyą sztuki, do jakiej poprzez pokojowego malarza kasetonów, czułem popęd najszczerszy! O ostatniej już zapomniałem, zatopiwszy się myślami w drugą: poprawiły się dola i niedola moja!

Gdym raz wrócił w południe (w parę miesięcy później) zastałem w domu wezwanie sądowe, w celu pewnych zeznań, dotyczących osoby... o bogowie! kochanki księcia!

— Cóż to być może?" — zadygotałem, ale nie czując bynajmniej żadnej, oprócz wspomnień spotkania i późniejszego rozmarzenia, winy, uspokojony, postanowiłem jednak skądś zaczerpnąć wiadomości.

W jednej z kawiarń spotkałem literata i poetę B..., którego nowelkę nawet przełożyłem.— Wiedząc, że poluje za senzacyami, by mieć podostatkiem tematu, zapytałem, o księżniczkę, opowiedziawszy wprzód moją rolę malarza kasetonów w jej pokoju, nadto wezwanie sądowe pokazując, jako „corpus delicti".

Dowiedziałem się z przerażeniem, że książe zamordował śliczną kochankę popełniwszy zbrodnię, na tle zboczeń seksualnych... O Pal-

las Athene! może w pokoju, gdzie wymalowałem kasetony, dla jej oczu cudnych? — — —

Powołują wszystkich możliwych świadków, zatem i moja osoba tylko widocznie czysto formalnem koniecznościom prawnem, że ją widziałem etc. — potrzebna.

Potem prosił mię literat, by mu opisać jaknajdokładniej jej postać, rysy i szczegóły, a nawet o słowa prosił, jakie moja krótka znajomość zachowała w pamięci.

Trochę mię oburzyła jego nahalność w wydobywaniu literackiego wykorzystania z głębin moich marzeń (pomyślałem: „ solidny literat niemiecki!“), ale cóż darmo mi dał pozwolenie tłomaczenia, więc musiałem się okupić...

Na rozprawę poszedłem, ale kiedy moje słowa, nie dorzuciły żadnego światła do dokonanego faktu, zanotowała „wielkość“ sędziowska krótko, że świadek widział osobę księżniczki. w trzy miesiące przed dokonaną zbrodnią, nie mógł atoli swem zeznaniem przyczynić się do oświetlenia faktu, zatem i rola moja się skończyła...

W kilka dni później czytałem opis strasznej zbrodni, potwornej, jaką notowała gazeta, obok spostrzeżeń psychiatrów, lekarzy itp. w bezliku tematowych dociekań znawców, a nikomu na myśl nie przyszło, że w ludzkiej duszy dzieją

się shakespearowskie historye dramatów, tragedyi i poematów nieskończonych. — — —

Literat B... zapraszał mię na odczytanie romansu, jaki naszkicował za sowite wynagrodzenie senzacyjnej gazety, gdzieby motłoch czytał, rozkoszując się w dociekanych tajnikach, sprofanowanych może najgłębszemi tragedyami poprzez śmiech życia pełnych żołądków. — — — Nie mogłem usłyszeć jego romansu, wezwany nagle do kraju.

A w wspomnieniach, jak obrzeżki kasetonów, złociste gałki, snują się złote nici opowieści o księżniczce, jej śmierci — w splotach mojego życia, z przed laty w naddunajskiej stolicy. — — —

TANECZNICA.

Zagrała silnymi akordy muzyka antraktowa. Maszynerye sceniczne zawarczały: powoli opadała posadzka balowej sali, dekoracye wytwornych ścian w stylu cesarstwa, z migotem złoconych tapetów, subtelnie cienionych luster, obrazów, zwieszających się u sufitu kwiatów, dyskretnie rzucanych w złączone girlandy. Zsuwano meble, a posadzkę posypano zlekka stearyną, aby baletnice mogły zwinniej obracać wyćwiczoną nóżkę, w obcisłych bucikach atłasowych. Ustawiono w wazonach, kloszach kwiaty i jej bukiet, od ulubieńca, zakochanego poety...

Dzisiaj występ: „tanecznicy“ — jak ją nazywano powszechnie.

Tłumy wielbicieli cisnęły się do okienka kasowego; wysprzedana sala.

Elsa van Grooth, cudzoziemka, zaangażowana na gościnne występy do Warszawy, odrazu podbiła sobie widzów swym tańcem „tarantelli“, wytwornych menuetów oraz rytmiczne-

go tańca greckiego, jej specyalną artystyczną formą oddania klasycznych ruchów, wprost z etruskiej wary...

I zakochał się w niej poeta!

Miał w swej twarzy wyraz pierotta, dlatego uśmiechem bawił tanecznicę, a łamaną francuszczyzną, patetyczną deklamacyą wyuczonych ustępów z „Iphigénie“ Racina, oraz nastrojowych wierszyków Verlaine‘a imponował cudzoziemce, że ten „północny barbarzyńca“ (jak może w duchu pomyślała Elsa van Grooth, w swej ojczyźnie gwiazda zwykłego kabaretu, na północy europejska sława, a zresztą nic dziwnego, uczyła obcych tańców klasycznych, dając temsamem obraz wyrafinowanej sztuki horeograficznej poprzez święty autorytet formy najdoskonalszej, to wszystko, co i poetę rozkochało w Elsie,) jej zapewniał miłą zabawą wieczory, stroił buduar kwiatami, które w dowód serdecznej przyjaźni, znalazły się w salonie, gdzie dzisiaj miała odtańczyć do muzyki Chopina, „tarantellę“, a dla niego rozkosznego menueta, który młody poeta uczcił wierszem, jaki w tym dniu zamieściły: „Poranne Nowości“.

Ale poetę uderzyła ciekawość ócz Elzy, kiedy jej odczytał swój poemat w polskim języku. Odpowiedziała mu po francusku, że ją bawią „dźwięki“, a kiedy jej przetłomaczył, w zadziwiający sposób, odpowiedziała wyrażonemi

słowy uczuć własnych, na temat poematu.

Młody rymotwórca zmyślił historyę o pięknej z nad Sekwany, jakoby z czasów Ludwika XVI., która przybyła do Polski, zatańczyła na królewskim dworze w Warszawie, a potem zakochana w dworzaninie króla, Stanisława Poniatowskiego wyszła zań, spolszczyła się niebawem, a jej synowie ginęli w powstaniu... Alluzyą, że slavus saltans", zrodził się z francuskiej tanecznicy, nieco drastycznie wpraszał się, by sam poeta, o rękę Elzy, aliści odczytany szczerze, dziwnie ujął Elzę van Grooth.

Kiedy się antrakt skończył, Elza pomyślała na chwilę o poemacie, jego autorze, aż dzwonek, że już czas, pchnął ją odruchowo przed lustro; spojrzała, poprawiła upięcia sukni — ścierając silniejszą czerwień z lewego policzka, poczuła nieznany jej dotąd rumieniec oraz dreszcz, z cisnącą się myślą: „młody poeta tam wśród widzów"... Chciałaby go uściskać, ucałować... A zresztą, poco kłamać uczuciom: „Jestem Polką i nią pozostanę, on mi zdarł maskę"...

Bo Elsa van Grooth, była przecież zwykłą sobie Stasią Mikulińską, z przedmieścia Wilna, uciekła jako kochanka hrabiego S.... a w obudzonej dumie, kiedy musiała pogrzebać tradycyę dziecięcej prostoty, uciekła z pałacu, zrazu krawczyni, potem „tanecznica", jak ją prze-

zwał raz napotkany rodak — od tego czasu, w ukrytem nazwisku, z wybornym akcentem paryskim, udawała cudzoziemkę, aż wreszcie w tej metamorfozie, olśniła Warszawę. —

Młody poeta, jakby cień i naturalna siła sumienia, zdzierał z jej osłon, by delikatne koronki obce, z jej ubioru wytwornego, aby ją przebrać na dawną Mikulińską, kiedy w 14 roku, zrazu pokojówka, potem kochanka hrabiego S... wkońcu Elsa van Grooth, na rodzimej scenie...

Ponieważ jej taniec poprzedzał dziś balet teatralnej szkoły pani Relidzyńskiej, Elsa mogła w bocznej salce baletowej jeszcze raz przećwiczyć swoją, zresztą wyszkoloną dobrze rolę.

Przeszła — a te myśli, jak ten rumieniec dostrzeżony paliły i domagały się swego prawa. Mikulińska czuła, że albo jutro wyjedzie, albo tajemnicę odkryje poecie: „Jak w poemacie, jej synowie walczyć będą w przyszłem powstaniu“...

Tylko nie z cudzoziemki... tu ją coś drgnęło, urywając głosem sumienia... Czternastoletnia Mikulińska była jej milszem złudzeniem, aniżeli tryumfy i ta siła przezwyciężenia tylu przeciwieństw, by dojść do artyzmu i w tańcu błyszczeć tryumfem... zawsze... tanecznicy.

Bito brawa szkole baletowej.

Kurtyna opadła a muzyka grała chopinowskiego poloneza, potem pauza, aż burza oklasków, wywołała: Elsę van Grooth.

Muzyka intonowała cicho, ale tak dźwięcznie, jak może nigdy uchu Mikulińskiej, tony poważnego menueta. Z za szerokiego decoltée wyglądał skrawek gazety... Dobrze, że go ociemniały koronki i muśliny.

Jak plama Lady Mackbetowskiej krwi na ciele Mikulińskiej...

Tańczyła, by w swoich myślach, ostatni jej taniec. Z rytmiką tak wyczutych cieni ruchów, że przykuta publika, zdawała się słyszeć odgłos królewskich kroków, lub niezagłuszoną niczem muzykę serca, które w pewnej chwili, w tym zachwytu momencie, zdolne do wyczuwania, choćby przez czar suggestyi-artyzm „nieznanej“ jej tanecznicy.

A Mikulińskiej pchały się myśli, niepowrotną falą: „krzyknę, żem Polka“... Lecz nie wstyd 14-letniej, ale wyrafinowanie z bruku paryskiego, oraz zmysł aktorskiej roli na scenie sali i życia, hamowało jej wolę, raczej głębiej przejmowało: „wyznam poecie, a synowie walczyć będą w przyszłem powstaniu...“

Rzucano bukiety, podano jej dwa wieńce, zdała się marzyć o ogrodach, o ślubie. Rzucała bezwiednie: „merçi“ — a przez zęby dławiło się: „dziękuję“...

Jednak czuła, że aktorkę van Grooth grzebią, a jutro Mikulińska będzie szła z poetą Marszałkowską.

A potem wyjadą do Paryża...

I tak szła, wśród niemilknącej burzy oklasków, do swego buduaru.

Czekał na nią młody poeta, zakochany.

A szczęście śmiało się szczerze w czerwonych makach polnych, jakie jej przyniósł poeta w nagrodę za: „polskiego menueta".

KRÓLEWSKI PAŹ W NIEWOLI.

Było to w przeddzień połtawskiej klęski. Szwedzi wiedzieli, że ich to czeka, jedynie ich król, „najromantyczniejszy ze Szwedów", nie tracił wiary, a może tylko za cenę honoru, raz powziętych planów, chciał wszystko położyć na ostatnią kartę... Przypominał tem nowożytnego gracza w szachy, który przegrywając grę na szachownicy, wstaje z dumą, że jeszcze jutro powetuje. Dla Karola XII., jak i później dla Napoleona, w przededniu klęski, majaczyło ciągle jutro. — — —

O tem jutrze rozmawiał w swym namiocie ze zgromadzonymi generałami. Pułkownik Appelgren kręcąc gałki z chleba, odezwał się: „ta zwycięży, a ta przegrana"... Król rzucił nań spojrzenie dziecka, które w stłuczonych lalkach widzi szczęście utracone, a potem, obiema gałkami trafił celnie w głowę marzącego pazia. Ten ręką, by muchę, odtrącił od siebie pociski, a na bladej twarzy pazia zamajaczyło jakoweś

przeznaczenie, złowrogie... Tak często w nie, w przeczuciach chwili, patrzymy!

Wszyscy milczeli. Karol XII. bał się wszelkich przeczuć; uczynił giest ręką, by mieczem, w tem był królewski rozmach, jakim zdołał zrywać wszelką trapiącą go myśl, jakby czarne zasłony, kryjące jego słońce, królewskie...

— „Tu ile może być pułków?“ — wskazując na mapę, spytał feldmarszałka, Rehnshölda, u którego wczoraj odbywała się narada wojenna.

Feldmarszałek, jakby zapomniał o swojej propozycyi cofania się, odrzekł:

— „Trzykroć więcej, aniżeli naszych, ale ich zwyciężymy“. — — —

Zadowolony król, rozdał pospiesznie rozkazy ostatnie, a kiedy wszyscy przejrzeli mapy i notatki, pomrukując coś dwuznacznie, odeszli do swoich namiotów, czy też na wyznaczone pozycye.

Król pozostał z młodym paziem.

Przypomniała mu się jego młodość, kiedy igrał swym wzrokiem dokoła pięknych rysów twarzy pazia. Nie miał nigdy chwili tak pięknej, jak w latach wczesnej młodości. Nie zdawał sobie sprawy, że cośkolwiek istnieje, coby mogło psuć plany królewskiej myśli. Wierzył, że zamiary, są czynami. A lubo później, z konsekwencyi niejednokrotnych niepowodzeń, prze-

konał się o różnicy, jaka istnieje między marzeniem a rzeczywistością, to przecież uważał swą królewską siłę, wyższą ponadto!

Zwrócił się do pazia: -- „Kogoś zostawił w ojczyźnie?“ —

Zaskoczony młodzieniec musiał prawdę powiedzieć.

— „Narzeczoną“ — odrzekł bez wahania.

— „A tak, hrabianka coś mówiła, kiedy cię brałem ze sobą“. — A po chwili dodał król: „Niejeden dzieli twój los“...

I zdał się król marzyć o czemś w równej mierze ze swym paziem. Paź nie wiedział, że ona — hrabianka, jego narzeczona, i o tem się królowi zwierzyła... Wszak udawała na dworze zupełnie obojętną, a tylko w ostatniej chwili, zamieniwszy parę słów i ten wręczony klejnot od niej — był wyrazem skąpych, ale dla pazia najdroższych uczuć. Czyżby i królowi było coś ponadto wiadomem? Czy oczy króla, tak wszystko, dojrzeć muszą? — — —

W tej chwili spotkały się ich oczy ze sobą. Król z uśmiechem odgadywał poprzez własne, splątane obrazy, podobne do swego pazia...

— „Gdy wrócimy, będziesz mógł prędko spełnić swe zamiary!“ —

A ręką określił król niezbadaną dal powrotu, jakby istotnie marzeń, w chybionej grze wypadków.

— „A jutro będziesz przy mnie?“ — zapytał król swym głosem rozkazu.

— „Nigdy Waszej królewskiej Mości nie opuściłem.“ —

Na obydwóch obliczach zajaśniała dziwna pogoda, płynąca z głębi uczuć wzajemnych. Bo król szwedzki kochał swoich bezgranicznie, a nawet starzy, lub prości żołnierze patrzyli nań z uwielbieniem, płynącem z głębokiej miłości wzajemnej. Paziowi przypomniały się teraz rzucone gałki chleba, a złowrogie przeczucie, by echem, drgnęło nim, ale wobec Jego Królewskiej Mości, trzeba mieć ten silny nerw każdorazowej, nawet wobec przeczuć odwagi: więc zacisnął wargi i zdał się patrzeć, by w słońce, choć ciężką mgłą osłonięte.

W parę minut król udał się na spoczynek, a paź rozważał tajemnicę swej miłości i ciągle przyciskając klejnot do ust — była to herbowa dewizka hrabianki, z jej monogramem — myślał, czyby nie było dobrze, wręczyć ją królowi, lub któremu z jenerałów? Ale królowi, to najpewniejszem! Bo tak się bał o ten klejnot.

Słyszał gdzieś opowieść, że z zaginionym klejnotem, ginie i miłość, a nawet opowiadał mu ktoś o przesądach, wierzeniach na ten temat.— Choćby sam zginął, to go wcale nie przerażało, ale byłoby zniewagą, nawet myśleć o nieszczęściu hrabianki...

I tak nie wiedząc wcale, że król czuwa, zbliżył się do łoża.

Jego Królewska Mość, Karol XII. patrzył przez mały otwór w daleką przestrzeń, skąd dymy zdradzały niedokończoną walkę. Paź drgnął, ale król go zagadnął, widząc pomieszanie na twarzy: — „Czyżby to już świt był?“ —

— „Nie! — ale Wasza Królewska Mość mi przebaczy“... jąkał się paź.

Król bardzo go lubił, a zresztą nie było jego zwyczajem, przemawiać innym tonem, nawet w gniewie, od zwyczajnego.

— „O cóż ci się rozchodzi?“ i patrzył weń, czy aby i on nie należy do opozycyi, która nie chciała walczyć na polach Połtawy.

Lecz paź, dobywając dewizkę, wręczył ja królowi: — „Waszą Królewską Mość proszę o przechowanie, skoro całą tajemnicę wyznała hrabianka“. —

Ucałował rękę króla i w postawie synowskiej, czekał na coś więcej, aniżeli na zwyczajne potaknięcie.

Król zawahał się, coby uczynić. Przemogła w nim jakaś głęboka tęsknota dawnych wspomnień, ale zaraz odezwał się rycerski duch, jak wtenczas w komnacie z młodą, przebraną kobietą.

Znów ruch ręki, a potem spokojnie odrzekł: — „Dobrze! przechowa mój dobry jenerał, al-

bo włóż do naszej schowki, gdzie mamy niewielką skrytkę.“ —

Paź uczynił rozkaz, a wewnętrznie spokojny, odszedł, by teraz, nie zważając już na odgłos armatni, nieco spocząć.

Na drugi dzień, kiedy od świtu grały bezustannie armaty, a po naradzie wojennej, król udał się z paziem na okopy, by zblizka przyglądać się ruchom wojsk, paź przystanął tuż przy drzewie, na wzniesieniu, obejmując jeszcze dokładniej kolumny nieprzyjacielskie.

Szwedzcy rajtarzy uderzali z zażartą siłą: miażdżyły kule ręce, nogi, od czasu do czasu padł pocisk w pobliżu królewskiego orszaku. Rehnshöld zaklinał króla, aby się oddalił, bo może Jego Królewska Mość paść ofiarą. Ale król wyprostowany, spytał: — „Ilu tam może być?“ — Wszyscy wytężyli wzrok, dostrzegając mały oddział, zapewne wysłanej patroli. Liczyli do czterdziestu.

Wtem paź zawołał: „— Pójdę, przekonam się!“ —

Zerwał się z pagórka, bo dostrzegł zadowolenie królewskiego wyrazu twarzy, pędził w stronę patroli, mając zawsze dobrą odległość wroga od siebie.

Wtem padł strzał! Król nieco się przeraził:— „Czyżby w stronę pazia?“ — Ktoś chciał odpowiedzieć, lecz słyszeć się dało przekleństwo,

miast odpowiedzi. Tuman kurzu okrył okolicę, a po chwili przy rozterce, bo gdzieś się zapodział batalion prawego skrzydła, zapomniano o paziu. Król zwrócił się do pułkownika Gellenrocka: — „Wysłać za paziem stu moich żołnierzy“. —

Rozkaz spełniono. Rekonesans przywiózł atoli w parę chwil, po odkomenderowaniu żołnierzy, wiadomość, że królewskiego pazia, ranionego, wzięto do niewoli...

Wszyscy spoglądnęli na króla. On ze zwyczajną sobie mocą panowania nad wzruszeniem, szepnął tylko do swego adjutanta: — „Nie zapomnij o skrzynce, tam ważne papiery!“ — Adjutant odparł: — „Leży na dnie woza bezpiecznie.“ —

Podobno paź zmarł wskutek rany w niewoli, a hrabianka otrzymała z rąk samego króla ofiarowaną dewizkę, tylko monogram starł się z niewiadomego powodu.

WIĘZIEŃ.

Pracowałem w jednym z portów włoskich. Najcudniejsze miejscowości na kontynencie. Przyczepione do skał miasteczka, wydłużają się w kawałek płaszczyzny, by tam człowiek zapomniał o pięknie, a nurzył się w pocie czoła w strasznej pracy, na tym padole łez i męczarni, że niby cień, wlecze się za nim jutro... O tem jutrze nawet morze nie zdołało stłumić rykiem swej fali smętnego wspomnienia... Jutro przeżyć, kiedy się dzisiaj rozpoczęło pracę o pustym żołądku, w strasznej trwodze, że nad temi falami, w błękicie lazuru, w cieni rozłożystej palmy, zginąć mi przyjdzie... Nie wiem, czy jaki Prometeusz w ludzkiej skórze zdołał zapomnieć o tem jutrze? Albo czy potrafiła, okrom nirwany, spalić je w sercu jakaś inna tęsknota...

Spiekota dni pod włoskiem niebem dokuczała w ślicznej pogodzie lipcowego dnia. Nad brzegiem, w piasku srebrzących się połyskiem kamyczków, operlonych wodą morza, bawiły się dzieci, nie dbające w swej cudnej beztrosce

o skarby, jakie wiozą ciężko naładowane okręty do portu...

Bawi je w uciesze śmiechów fala, która im z pod ręki porywała muszle, zanim ich rączki maleńkie, zdołały pochwycić, biedne, na brzeg wyrzucone stworzenie... Fala się z niemi śmieje, swą dziecięcą a piękną brawurą pryskających rumaków w poprzek sinej dali, aż do brzegu... Fala, której największą tajemnicę, bo własne życie, powierzył w rozkochaniu Shelley...

Nająłem się u bogatego dostawcy sztucznego nawozu, wespół z dwoma hiszpanami. Popatrzył na mnie zawiadowca i zarazem pan życia naszego, zwłoszczony hebrejczyk, oczyma, pełnych niedowierzań, że ja mogę być prostym robotnikiem, przy wątłej budowie ciała o słabo rozwiniętych muszkułach...

Ale cóż go obchodzi: godzę się zawieść z portu do kolejowego dworca 300 worków i na tem koniec... Mój towarzysz ładuje, a drugi układać je będzie w wozie towarowym. Przestrzeń nie wielka, zatem nie opłaciłoby się wózka i konia opłacać, kiedy w wieku maszyn i człowiek się nią stał powoli...

Podano mi ubranie błękitnego koloru i z nie większem nabożeństwem, jak czciciel słońca, oczekiwałem chwili, kiedy, po rewizyi cłowej, czy innej, pozwolą mi pracę rozpocząć... Wszak wieczorem będę mógł zjeść już w osteryi

„spaghetti" z pomidorowym sosem i wychylę pół litra dobrego wina, by krzepić się po pracy, a przegłodzeniu kilkudniowem...

Śmiała się we mnie nadzieja i jakieś życie nowe!

A morze szumiało, by widząc mą radość oblicza, krzykiem zdradzało swą tajnię szczęścia: „a może i ty do mnie przyjdziesz, kiedy cię ziemia zmęczy? — — — ja kryję w sobie tyle żyć ludzkich". — — —

Ukochane może! Jakżeż twa fala mię uspokaja, jakżeż jej winien jestem, by cudu mocą swą siłę do pracy! Przy jej wynurzeniach rozpocznę moją dolę, w tak pięknem otoczeniu zapomnę o jutrze...

A i jutro cię chwalić będę, kiedy znów pracę od nowa rozpocznę. Morze moich smutków, przemienione w cudowną falę szczęścia...

Mimo głodu, nigdy przecież nie chłonąłem bezmiaru piękna i miasta w cudownej bajki krasie i morza rozkoszy w grze fal, jakie kiedyś podziwiałem na obrazie Boecklina, a teraz szły do mnie z dali moich marzeń, by nutą świętego ukojenia...

Rozpocząłem pracę z nie większym zapałem jak ten, któremu kazano świątynię budować dla Boga, którego ukochał... Czyż życie nie jest nam objawionem bóstwem, a jemuż nie czyni-

my ofiary z naszych marzeń i wysiłków, kiedy o niem zapomnieć nie wolno? —

Mój towarzysz, nucąc hiszpańską piosnkę, z ogromną uprzejmością niebywałą, pakował mi worki, a kiedy ozwałem się: „basta“, — z uśmiechem pchnął pierwszy wóz, opatrzywszy moje plecy dodatkowym workiem, aby w ten sposób liczba możliwie się zmniejszała... Z powrotem tasama nuta wprost mię kołysała miłosną melodyą, a przy muzyce fal morskich dodawała emocyi, że przecież pracując, spełniam i utajony obowiązek ofiary, na ołtarzu piękna. Śmiech mojego przyjaciela, wołałem nań: „amico“ — darzył mię dziwną otuchą. Gdyby nie ból w plecach, po 60-tym worku, tańczyłbym z wózkiem tam i z powrotem, jak trubadur, lub fanatyk, znoszący olbrzymie kamienie za dobrowolną pokutę tem falom w ofierze. — — —

A kiedy usłyszałem: „per l'ultima volta“, że już ostatnim razem czynię „syzyfową“ pracę wysiłku muszkułów, z radości przybladłem, aby wypytać się z moim przyjacielem o jutrzejszy termin pracy, oraz o jakość zawartych pak, a za otrzymane liry, udaliśmy się w trójkę do gospody: „à cena“...

Hiszpanie gwarzyli o czemś w narzeczu kastylskiem. Z mimiki dostrzegłem, że i ja ich przedmiotem rozmowy. Ale — kiedy się mój

pierwszy „amico“ oglądnął, wyczytałem, że mi ufa, a ta jego pewność udzieliła się drugiemu: „andiamo in questa osteria“. — Wskazał na narożną gospodę, wysoki o wybitnych rysach wizygockich, poprzez silnie czarną barwę i temperament południowca, hiszpan, przypominający jednego z bandy cygańskiej z zaczytanej nowelki Cervantesa...

Nabrałem pewnej sympatyi dla ziomka autora: „Don Quichotta“, a chociaż mię nieco wstrząsnęło, na pamięć o ich zapamiętałej krewkości, którą tak barwnie, gdzieś i pan Niemcewicz przedstawiał... to jednak nie zawahałem się w ich towarzystwie wejść i rozsiąść się w obszernej osteryi portowej.

W wnętrzu, przy słabem świetle nikogo, oprócz nas i pewnej kobiety, nie było: „Il padrone“ liczył denary! w ukryciu swej „camera“. Kiedy zasiedliśmy, czarnobrewa, na skinienie Pedra, rosłego odbieracza moich worków, przysiadła się, świergotając w przymileniu dobrego wina, o nowinkach w porcie...

Potem odeszła z moim „amico“ — a obydwaj z Pedrem, gwarzyliśmy długi czas o różnych kwestyach życia. Wspomniałem, że kocham południową rasę za szczerość śmiechu i słoneczną wesołość brawurnego temperamentu.

Tu, hiszpan tak się rozochocił, że obnażył swe ramię, a drasnąwszy nożem, tryśniętą krew

wsączył do mojego i swego kubka. Na znak, że wypijemy braterstwo!

A potem jął opowiadać o swojej przygodzie, co go sprowadziło pod włoskie niebo. Był długi czas murarzem i dobrze mu się powodziło w ojczyźnie. Ożenił się, a nawet myślał o zakupnie większej realności, aby spokojnie umrzeć... Tymczasem: w dniu palmowej niedzieli, na procesyi, spotyka swoją kochankę. Czemuż ją spotkał? Mówił, że w tym dniu żona stłukła jego ulubioną gitarę, a on wróżył nieszczęście; lecz nie wiedział, skąd i jak dopłynie? — — —

Zaśmiał się boleśnie!

Kochanka odprowadziła go po procesyi do domu, tam skłamał żonie, że ta z jego miejscowości pod Sepulwedą... Nie chciał jej z domu wypuścić... I tak mieszkał pod jednym dachem ze swą żoną i kochanką... I szczęście i wspomnienia go kołysały do snu rozkosznych marzeń... Aż pewnej nocy zobaczył, jak oto ten — wskazał na miejsce, gdzie siedział: „amico“, uwiódł mu kochankę dawnych lat.

Z zemsty (opowiadał tak cicho, że ledwie go słyszałem)... zamordował kochankę, a pijany: „amico“ powetował sobie na jego żonie, również morderczą bronią...

Kiedy ja zbladłem — odrzekł spokojnie: „sześć lat siedzieliśmy obydwaj w więzieniu...

„pena della carcere“ — ciężka kara więzienna.
Aż w noc wielkiego piątku, gdy nam pozwolono przejść się po podwórzu, zostaliśmy we trójkę z naszym stróżem. Oczyma porozumieliśmy się szybko. On schwycił go za gardło, a ja dobiłem... Il povero custode della carcere... Biedny stróż jęknął i opadł. Wnieśliśmy go do naszej celi i w okamgnieniu rozebraliśmy go, ja i mój towarzysz, dzieląc się szatami... Potem, przy zamieszaniu, z powodu nagłego zgonu zarządcy, opuściliśmy „nostro carcere“, i po wędrówce, przygodach, stanęliśmy w tym porcie, bezpiecznie pracując, jako robotnicy z Nicei...

— „Ty nas nie zdradzisz!“ — i popatrzył mi w oczy silnie tak, jakby chciał się dowiedzieć, czy w nich wyczyta potwierdzenie, zanim powiem słowem! Znów piliśmy krwią braterstwo! Hiszpan zmęczony, począł śpiewać piosnkę o znanych mi dźwiękach miłosnej aryi.

A kiedy powrócił mój „amico“, dowiedział się z hiszpańskiej obydwóch rozmowy, żem wtajemniczony i że on musi mi być bratem: po zwyczaju „affratellarsi con sangue“ z jakim się zbratałem z Pedrem... łączyła nas, obok pracy dnia i wspólność zdradzonej, oddanej bratnio tajemnicy.

Nie zapomnę, jak mój drugi przyjaciel, gorzko płakał, że skazany na dolę: „więźnia“, musi się tułać po obczyźnie za karę, że kochał...

Jedyną winą: „miłość“ — — — Obydwaj, ku uspokojeniu własnych nerwów, po wywnętrzeniu się, bo jeszcze raz usłyszałem ze szczegółami opowieść z ust mojego „amica“ — zanucili miłosną pieśń, a kiedy przez rozwarte drzwi szum wzburzonego morza dolatywał w echu ryku fali, ich pieśń łączyła się bólem i tak szczerym, jak wyznanie, przed braterstwem uczynione...

Pokochałem tych więźniów, za winę miłości! Obydwaj przyjęli na swe barki cierpienie, wygnanie, a mimo tych zbrodni, nosili w sobie coś z cudnych oblicz ludzi, pokutujących za swój temperament, obłęd rozkosznej miłości, jaką przypłacili cierpieniem banicyi...

Później dowiedziałem się, że „czarnobrewą“ utrzymywali obydwaj, po stracie jej męża. I byli dla tej kobiety prawdziwymi opiekunami, co więcej jej trojga dzieci wychowywali.

Kiedy nazajutrz i w tydzień potem z nimi pracowałem, patrzyłem w te twarze, które niejednokrotnie w zadumie melancholii zwracały się ku dalekiej przestrzeni morza, by tam w tej głębi utopić ze serca ból i rozpacz naprawdę cierpiących winowajców, za swe winy... Widziałem, że zbrodnia ich uszlachetniła, a skazując na wygnanie, zdala od marzeń zrealizowanego szczęścia — tutaj byli opiekunami biednej kobiety; gdy zaś opuszczałem port, wracając do

Rzymu, żegnali mię z tak serdeczną przyjaźnią, jakbym z nimi opuścił więzienie, a nawet Pedro przezwał mię „więźniem“, kiedy mu opowiedziałem, co mię sprowadziło do portu...

Wyraz ten w ustach hiszpana brzmi równoznacznie z „powiernikiem“, który uwięził w swej pamięci drugich tajemnicę...

Obok opowieści fal, ta ludzkiej duszy, z jej „dal profondo“, wezbranego morza, dała mi niezapomniane wspomnienie dwóch winowajców miłości i przezwanego „więźnia“ w mej osobie, której powierzyli tamci tajemnicę równie potężną głębokiej fali, mojemu sercu, ich powiernikowi, jakim dla mnie było morze fal i dusz tych ludzi...

DROGĄ BEZ ODWROTU.

(Opowiadanie legionisty, mojego ucznia)

Po trzech latach niewidzenia się, a roku żmudnej, wojennej tułaczki, spotkałem mojego ucznia, który mi opowiedział szczerze epizod, jaki wypisał życiem młodego bohatera, w tej niezapomnianej księdze polskiego żołnierza...

— — — — — — — — —

Przyszedł rozkaz, że za pół godziny jedziemy w trójkę na patrol. W Królówce, za cmentarzem stoją wojska rosyjskie. Odległość półtory mili. Miejsce trzeba wybadać, o ile możności wywnioskować ruchy wojsk, a przedewszystkiem nieprzyjacielską pozycyę względem naszych. —

— „Teraz, albo nigdy!" — pomyślałem. Moi towarzysze rozmawiali wesoło. Byli kilkakrotnie na patrolach uchodząc zawsze cało. Patrzyłem na te twarze w moim wieku. Kochani: Jaś i Kazek. Synowie włościan, ukończeni gimnazyaliści, Kazek na pierwszym roku praw, Jaś, porzucił guwernerkę, aby się do legionów zacią-

gnąć. Przezwałem ich Orestem i Pyladem, bo kiedy Kazek trzeźwo wszystko roztrząsał, Jaś zawsze „z punktu idealisty“, dopatrywał się we wszystkiem „wyższych praw“, ukrytych w tajnikach niezbadanej natury. Trochę romantyk. Któż, z nas legionistów, nim nie jest. Chociaż dalekimi jesteśmy od złudzeń, mamy serca z serc starych ludzi, obrońców Ojczyzny w walkach o niepodległość. Mimowoli nadsłuchiwałem, o czem oni tak wesoło mówią?

Jaś: „z wiarą tylko!“ — perorował — „idea musi zwyciężyć“ — a Kazek śmiał się: „do licha, zatłukę pięciu, jak wtedy — pamiętasz? i wrócę!“... Jak oni pewnie liczą?! Niczem badacze zbliżającej się gwiazdy, lub bankierzy wśród stosów rulonów. Tylko tamci ściągają prawdę z gwiazd, drudzy, materyalizując życie, sumują je i wartościują monetą, a ci swoje życie podporządkowali idei: „wyzwolonej Ojczyzny“. —

Mną drgnęło przeczucie—coś z tych pessymistycznych naleciałości dwudziestodwuletniego młodzieńca, co to ze Słowackim w ręku, kłócił się o porządek rzeczy, a teraz ma skonstatować ruch nieprzyjacielskiego wojska. Nie było już czasu na tempodobne deliberacye, czy „polowofilozoficzne“ myśli, czy też refleksye, bo nadbiegł z rozkazem mój żołnierz.

Ruszyliśmy, jak zwykle, wręcz przeciwną drogą od naszych.

Kazek jechał na przedzie. My z Jasiem — nic nie mówiąc — w nieco powolniejszym tempie.

— „Tym razem nie wrócimy!“ — szepnął Jaś. — „Tak się nie walczy, mój panie“.

— „Kiedy mam takie przeczucie“ — ale nie dałem odpowiedzi, bo skądś świsnęła kula, ale w przeciwnej stronie. Korolówka była, jak na dłoni. Piękny obraz w przyprószonej szacie śniegu. Od kopyt końskich odbijał się zlepek błota, nieprzyjemny, ale dzięki tej miękkiej drodze, nikt nie dosłyszał naszych koni. W poważnej chwili oceniały ważność missyi tajemniczej i nie parsknęły nawet. Lasek młodej leszczyny, brzózek ocieniał nas wybornie, a nasze sylwetki zlewały się na tle szarej w jedną plamę, zatem „niewidzialni jeźdźcy“, posuwali się ze sprawnością swojego „kunsztu“, coraz bliżej. Zamajaczyły krzyże cmentarza — a w bok nieco dymy z ognisk obozujących moskali.

— „Jak tu dojść, by obejrzeć ich z tylnej strony lasu, nie potrzebując zawracać nawprost obozu?“ — Kazik zginął już w lesie. Myśmy za nim okrążali, nie tracąc z oczu cmentarza i obozu. Mgła nam dopomogła w manewrowaniu. Moskale, ilekroć w większej liczbie, nie przeczuwając tak prędko naszej patroli, rozstawili rzadkie warty; widziałem, jak zresztą leżeli,

podle cmentarnego rowu, przytulając się do wymoszczonej słomą ziemi.

Z przeciwnej strony, mniej więcej na dwie mile od naszych wojsk, pośród szańców, cwałowali kozacy z rozkazami. Las uważali widocznie za niewchodzący w poważną rachubę obecnej chwili. Potem nieco przeliczyliśmy się z tym faktem.

Kiedy kozak znikł na pewien czas — myśmy z Jasiem czekali, aby niepotrzebnie się nie „pakować“. Drgnęły lekko drzewa — mieliśmy w pogotowiu broń. Pies, najwidoczniej ze wsi nad wodą, z drugiej strony Korolówki, szukał kości i żeru obfitego, w pobliżu Moskali. Rzuciłem mu z torby kawałek spleśniałej słoniny, aby niepotrzebnie nie tratował gąszczy.

Tymczasem mrok coraz silniejszy, a nasze konie parsknęły: objaw czyjegoś zbliżania się. Znów jakieś psisko, ale wyminęło nas, pędząc przed siebie. Wysunęliśmy się naprzód. Skąpe ogniska zdradzały, że ledwie, widoczne sylwetki Moskali; natomiast dostrzegliśmy w stronie okopów kilka sotni, odkomenderowanych, bo zwartym szeregiem, posuwały się ku naszym wojskom. Pewnie trzy, lub więcej patroli. Kozacy zawsze tak dochodzili, aż po nasze okopy, lub okrążali je, by złapać języka o naszych. Znów cofnęliśmy się, ale, by wybadać, dokąd możnaby się posunąć szlakiem lasu, pod cmen-

tarz. Jaś zaś zadecydował już drogę, kiedy świsnęły strzały, widocznie piechoty, bo świst równoczesny ze zgrzytem kulki. Kazek w ogniu, lub ucieka? Strzały ucichły. Padło ich sześć lub siedem. Moskale, zwłaszcza z okopów strzelają naraz i bez rachuby. Tych niebaliśmy się! Ale to naprowadzi Kozaków, a więc z nimi będzie sprawa.

Mknęliśmy zadecydowaną drogą, ufając szczęściu dotychczasowemu. Dotarliśmy do brzegu, skąd może 30 kroków do cmentarza. Tam napotkany Kazek, coś nam wskazał nerwowo. Ucieszyliśmy się, że go mamy: a jego nieme ruchy rąk, pokazywały nam wyciągniętą linię piechoty i artyleryę, toczącą działa i amunicyę na wzgórze, za Korolówkę. Dałem znak, że się oddalamy. Piechota najprawdopodobniej kieruje w stronę widzianych sotni, a artylerya ostrzeliwać będzie naszą pozycyę z prawej strony, co trzeba natychmiast donieść.

Znów szelest nas zelektryzował: tensam pies czarny, wlókł się za nami. Jaś się przeżegnał— a w tej chwili, jakby na dany znak huknęły karabinki kozackie. Już wiedzą o nas. Wjechaliśmy w las. Kazek miał jeszcze coś do sprawdzenia, czy też liczył na piątkę, jak mu się raz udało, dość że za nami go nie było. Zewsząd byliśmy otoczeni, bo strzały padały i od strony cmentarza, z okopów, a nawet, czegośmy

się nie spodziewali, od wioski, nad rzeczką. Skierowałem konia w stronę drogi, ku naszym okopom pierwszym, wymijając starą drogę podle lasu. Obficie nas raczyły kule — doszło do mych uszu, gwałtowne ścieranie się w stronie Kazka. Ale tam nie piątka strzelała... W takiej chwili żołnierz nie patrzy na ilość ludzi, ale na trafność strzału i to go oryentuje w sytuacyi. Jaś mi nagle zginął. Czy odbiegł, czy też utartem prawem patroli, że najlepiej w patroli uciekać w pojedynkę, umknął, aby zatrzeć ślad tym fortelem. Huknął, ale najwidoczniej celny strzał w mojej blizkości. Wiedząc, że drugi też tu padnie, podjechałem, krzyżując drogę. Rzeczywiście, trzy naraz się za tamtym rozległy. A już od strony cmentarza, głuszyły strzały powietrze.

Darłem, co sił starczy. Koń wybornie mi sekundował, bo nawet bez moich bodźców, tylko na lekkie targnięcie ręki, w lot zmieniał kierunek. Znów mi świsnęła kula, ale czułem, że tak blizko, jakby po mojej nodze. Z drogi pędził kozak. Wymierzyłem, jak ongi do dzikiej kaczki, na tarnopolskim stawie... Zsunął się z konia mój przeciwnik, koń, jakby ucieszony tryumfem swego pana, przeskoczył rów, dzielącego lasu od drogi i niósł mię w półgodzinnym galopie, poprzez szalone bruzdy, mokradła, aż w sam środek naszych. Gdy stanąłem, poczu-

łem gorąco w prawej nodze. Za nogę trup! Jak strzelał? teraz dopiero pojąłem: oto brał mię w chwili, kiedy koń trafem drzewa na drodze zwalonego, stanął dębem, a mój korpus w tyle, osłonił mię, odkrywając na strzał nogę. Zdałem relacyę najdokładniej, żądając szukania tamtych w posiłkowej patroli. Potem rozcinali mi buta, a za chwilę leżałem w gorączce z rwaniem nieopisanego bólu w nodze.

Z gorączkowego snu zapamiętałem, że ciągle uciekałem przed czarnym psem, a potem widziałem, jak targał Kazka i Janka. Krzyczałem tak głośno, że aż się bali o mnie... Kiedy za trzy dni nasi posunęli się, aż poza Korolówkę, znaleziono trupy Kazka i Janka.

Kazek z podziórawioną klatką piersiową pokaleczoną i pokłótą nogą, leżał do połowy w rowie, najwidoczniej jeszcze stamtąd walił do swej piątki... Ale musiała to być pięćdziesiątka!... tylko zboczyła za Jasiem, który umykając w stronę wsi, w ten sposób zmylił moją ucieczkę. Śmierć porwała go tuż nad stromym pagórkiem, koło rzeczki. Nie mógł go unieść koń, obydwaj zginęli. Nasi zdobyli nazajutrz Korolówkę, a cmentarz ukrył w mogiłach bohaterów patroli: Kazka i Janka. Ja z chorą nogą leżałem cztery tygodnie; pogorszyło mi się, po koniecznej z mej strony chęci szukania kolegów.

Potem wysłano mię do Wiednia, a stamtąd — jak widzi, kochany Profesor — wracam z zagojoną raną w nodze, ale niezabliźnioną w sercu, po tej niepowetowanej stracie.

Gdyśmy wieczorem kroć razy powtarzali wspominanych uczniów moich, zapytał mię:

— „Czy dzielnie walczymy? Pochwali nas Pan Profesor?“ — — —

Uścisnąłem dłoń gorąco, dwudziestodwuletniego porucznika polskich legionów, a sercem patrzyłem w to serce młodej duszy jednego z dzisiejszych bohaterów naszej Ojczyzny, dumy narodowej, żeśmy wydali młodych z tą obopólną wiarą: „Nie zginiemy“, choćby przez śmierć tysięcy...

WIOSNĄ, NA CMENTARZU.

(Z Selmy Lagerlöf).

Wybiła dziesiąta godzina na wieżowym zegarze kościoła; nabożeństwo, rozpocznie się za całą godzinę. Kiedyindziej nikt się przedwcześnie nie kwapi do kościoła, dzisiaj, z powodu niedzieli, przybyła przedwcześnie młoda para, i przystanęła przed kościołem. Patrzą na się ze zdumieniem!

Ona, podchodzi pod rozłożystą lipę, ale jej nagie konary, bynajmniej nie użyczają cienia: wszak to wczesną wiosną! On — mimowoli — idzie za nią.

— „Inga, toś już tutaj! niech będzie pochwalony!“ — powitał ją, a potem dodał: — „Jakoś wcześnie dzisiaj przyszłaś?“

— „O tak!“ — po chwili usprawiedliwiała się, iż ją matka naglila, by się nie spóźniła na mszę, a zresztą przychodzi zawsze wcześniej od innych!... Mówiła nieco przyciszonym głosem, a w pewnem zakłopotaniu, plątały się jej słowa.

On również z podobnych przyczyn, przybył zawcześnie. W jego atoli głosie drgała pewność siły męskiej, bez najmniejszego wzruszenia, a jasnem, że droga daleka, więc wyprawiła go gospodyni wcześniej, jakoże lud powinien przed dzwonkiem czekać na mszę świętą...

Po takich wyznaniach, coś obojga zaniepokoiło, tak, iż im tchu brakło! Wewnętrznie czuli, że przecież ich nikt nie naglił, ale sami, jakby na zmowę, przybyli zawcześnie... Młody parobczak myślał: — „U licha, z kimżeżby się to Inga chciała zobaczyć, że jej tak spiesznie było?“ — — —

W jej serduszku, mimowolne pytanie: — „Kogóżby to chciał Axel, o tej porze zobaczyć?“ — — —

Gdy się ich oczy naraz ze sobą spotkały, znaleźli na utajone pytanie odpowiedź: „spotkali się, boć się spotkać mieli“...

Zrazu nieśmiałość, potem zwyciężyła ją pewność siebie oraz wzajemność, jakiej się jedno od drugiego spodziewało.

— „Ja jej ta zaraz powiem!“ — pomyślał Axel — „pocóżbym miał taić?“ — — —

— „Jeżeli chcesz“ — zagadnął Axel — „to chodźmy na cmentarz, tam szumi ciepły wiatr z południa... tutaj taki chłód od cienia“...

Otwarł żelazną furtkę, ona za nim zdąża, lu-

bo we wnętrzu doznaje niepokoju, że przecież nie należy zakłócać ciszy umarłych. Przystanęli na grobach, w południowej stronie cmentarza. W głębi zazieleniły się już drzewka, biały okwiat pokrył wierzby, a ze snu zbudzona pszczółka, brzęczała radośnie, zadowolona ze słodyczy pierwszego kwiatka wiosny. W duszy dziewczyny jakaś groza nieuzasadnionego lęku na myśl o umarłych; on patrzy z pogodą w rozkwitniętą przyrodę, szepcąc jej, że tak wczesnym kwietniem, a już zazieleniło się wszystko, a nawet kwitnie — — A i ona, nie pamięta tak wczesnej wiosny!

Taki był początek ich rozmowy...

Potem, a patrzył on w milczeniu w krasę jej twarzy, w jej cudne oczy, radując się wewnętrznie dziewiczem obliczem Ingi.

Nie jest przecie piękną! zwyczajna twarzyczka! ale jaka wspaniała w swej krasie zdrowia! A pewny, że jak zdrowo wygląda, tak też i myśli —

Oboje znają się od dzieciństwa: wyrośli u sąsiednich gospodarzy, razem się bawili, i tak jakoś się serdecznie pokochali.

Tym razem wyczuwa, że dzięki jej obecności, tak mu dobrze, jakby był innym człowiekiem, lepszym, aniżeli przed godziną, kiedy sam wyszedł z domu...

— „Jej trzeba wyznać, mą miłość“ — pomy-

ślał — „przecież innej nie chcę“. — — I tak o niej myśli, podczas gdy jej, coś strasznie, zaciężyło. Pomimo stanowczości, z jaką się zdecydował, to jednak się waha... Coś go odstraszało... Zdawało mu się, że go cmentarna samotność ocieni, a tymczasem zewsząd droga otwarta, zewsząd ich dojrzeć mogą ludzie...

Od ziemi ciągnie zimno, pomimo słońca promieni — tłomaczył sobie, że tutaj ziemia dobywa oddechu umarłych, chcąc ich stąd wypędzić.

— „Ty i ona, bynajmniej się z nami nie zgadzacie, ani z tem miejscem — my, tam pod ziemią, nie znamy podobnych rozmów, ni żaru miłości, li tylko zimno i wieczną ciemność“...

W jej sercu oziębiła się nagle, rozkosz pierwotna. Wszak się ciągle trapi, odkąd Axel poszedł do bogatej Hemarby na służbę.

Ta stara, ale jeszcze nie przekwitła — — — wszyscy mówią: jak tam Axelowi dobrze, wprawdzie ona odeń o dziesięć lat starszą, ale gospodarstwo odziedziczy, a to coś znaczy...

By przerwać milczenie, wypytywał się jej o błahe sprawy domowe, aliści nic nie słyszał, co mu odpowiadała. Ona, by go zaciekawić, opowiada, co zaszło, odkąd on odszedł —to go zaciekawiło. Powinien — jej zdaniem — wrócić, a byłoby im dobrze i wesoło...

— „To prawdziwe zrządzenie boskie, żem ją

tutaj spotkał" — pomyślał junak — „i ona wyszła z domu wcześniej, a i ja wiedziony przeczuciem, pospieszyłem się"...

Każda sekunda go żywiej pobudzała!

— „Kiedy mię dzisiaj gospodyni spytała, czy na przyszły rok pozostanę odpowiedziałem, że muszę wpierw się ojca zapytać, boć mu może w gospodarstwie będę potrzebnym?... a właściwie, to od niej zależy..."

Rozradowany śmiał się, skakał, o mało nie machnął koziołka z brawurą! Tak, jakby mu jakiś ciężar spadł z głowy... z serca... Zda się, że wyfrunie... A to wszystko dlatego, że Ingę spotkał...

W zimie, tom się bał z nią spotkać... bo jak długo się nie zaręczyłem... e! i tak nigdy nie byłem... aleśmy tak zawsze razem przebywali, a zresztą o lepszym ożenku myślałem... a teraz nie chcę o tem myśleć!

Jeżeli mię tylko chce, to będę już całe życie szczęśliwym...

Obejrzał się dookoła. Ach to straszne, jeszcze niema kwiatów! Gdyby choć jedno miejsce było, gdziebyśmy się mogli ukryć, onby jej tak krótko chciał opowiedzieć... Chciałby ją objąć, ucałować... Byłoby tak łatwem, gdyby nie przeszkadzało miejsce. Najlepiej tam, za tym kamiennym grobem! Wszak nim spotkam gospodynię, muszę się zdecydować! Jeżeli nic

stanowczego nie zadecyduje, muszę u niej jeszcze rok pozostać. A zresztą jej powiem, żem z Ingą zaręczony, w jesieni nasz ślub! — — —

Przystanęli obok dużego grobu kamiennego: Axel obejrzał się, znów dostrzegł, jak wokoło otwarte miejsce, zewsząd, a mogą ich dostrzedz, czy od kościoła, czy też z drogi. Nie może się zdecydować, by przerwać milczenie, zagadnął: — „A czy się tam co nie stało?" —

Zawahała się mu odpowiedzieć. Uczucie tajonego lęku w niej wezbrało, jakby za powiewem zimnego chłodu, od tych mogił. Wychowana wśród borów, nasłuchała się opowiadań o strachach, a teraz myśli, że może te duchy wnet, a ją obejmą, by powieść w podziemną krainę umarłych. Aliści rozweseliła ją para wesołych motyli i świergot zięby na drewnianym krzywym krzyżu, pochylonym. Drgnęło obce pytanie jej myślom: „czemu się tutaj zeszli?"... „a nie odejdą od tego miejsca umarłych?"...

Ale, bo to tak na wiosnę! więc gdziekolwiek się budzi wiosna, tam miłość, choćby i na cmentarzu; jej siła potężniejszą od umarłych! — — —

I jakby, po jej stronie wiosna, podniecała ją, rozweseliła.... Zdało się jej, że mu na wszystko będzie przytakiwać, a on tak nieswojsko w nią patrzy — — —

— „Zapewneś nie wiedział, że przed paru tygodniami, Jan Eskilon umarł?“ —

Wpatrzona w jego oczy, jakoś silnie akcentowała. A to go, by ze snu zbudziło.

— „Co mówisz? opustoszała zagroda? Może mi właściciel wypuści w dzierżawę, aby się jesienią osiedlić?“ — — —

Teraz ją zrozumiał! Poto li tylko tutaj przyszła, aby mi to oznajmić! Nie wątpiła weń, boć go kocha, wierzy w jego szczerość — a i poto się spieszyła, aby mu powiedzieć, że teraz czas by ją poślubił...

Z temi słowy — by cieplejsze słonko — rozjaśniło śmiechem promieni ziemię, woń pąków, by nagle rozwartych, poczuli, tak silną, że ich aż o upojenie przyprawiła... Jakby przedziwna siła, inna od tej wiosennej, zwiała poszumem, poszeptem ich słów... Zdało się im, że trawa, kwiatki, liście, nagle żyć poczęły... a z ich piersi zakwitnął cudny kwiat, który z serc dobywa miłosnego czaru woni...

Tak bezwiednie się oddaliła; on za nią trawiony myślą wyznania, dla którego miał kaskadę miłosnych słów. — — —

Tymczasem potknął się o coś! Wyglądnęło z pod trawy coś białego, ukrytego w ziemi.

— „To zwyczajny kamień“, — szepnęła Inga, — „tylko go deszcz spłukał“...

Ale on odskrobał ziemię od przedmiotu, o-

czyścił go: — „Toż to nie kamień, ale tabakierka“. Wyczyścił ją lepiej, a w ręku była pięknie na przykrywce, grawirowana tabakierka. Chciał ją otworzyć, ale go prosiła, aby to rzucił.

— „Do licha“ — krzyknęła Inga, — „toż to zły duch!“ —

Wydało się im, że ktoś, który tu grzebał, dobył tabakierkę i napowrót wkopał z przerażeniem. Tam wewnątrz, może ziemi trochę, jaką zabierają na pamiątkę, kiedy kogoś ukochanego grzebią? — — — A lubo on w zabobony nie wierzył, jednakowoż lęk Ingi udzielał się i jego wyobraźni.

— „To zupełnie naturalnem, znalazłem tabakierkę, może mi szczęście przyniesie?“

— „Nie powinieneś się jej dotykać, podobne rzeczy nic dobrego nie przyniosą, rzuć-żeż ją — proszę cię!“ —

Chciała ją nawet wyrwać, a giestem rzucała daleko.

On, wbrew jej woli, odszedł i otworzył przykrywkę.

— „Nic nadzwyczajnego, stara, w grudkach już, tabaka“... —

I ona, z ciekawości, tosamo zobaczyła.

— „Nie mówiłam, dałby coś dobrego zły duch, rzuć-żeż ją“... — prosiła!

Z uśmiechem jej odparł: — „E! tak łatwo

nie wyzbywa się szczęścia, a znasz przysłowie, kto posiadł pudełko, czego sobie życzy, otrzyma"... a potem dodał: — „czy nie wiesz o tem? —

Patrzył się, kiedy roztwarł tabakierkę, jakby marzył o szczęściu... ona, by na przekór, podsunęła rękę, chcąc wytrącić „złe" z jego dłoni. Nie udało się jej, schwycił i przedwcześnie zamknął.

— „Nie powinnaś czynić na opak szczęściu, kiedy ono cię szuka"... odparł filuternie.

Ze łzami odpowiada: — „Powinieneś ją położyć, skąd ją wydobyłeś!"

Trwożnie, ruchem ręki, odpędzała złego ducha.

Nagle posłyszeli za sobą cudze kroki.

— „Cóż tu robicie moje dzieci, drzecie się, śmiejecie, wszyscy się na was gapią!" —

Odwrócili twarze — tłum przed kościołem, patrzył w ich stronę z ciekawością. Zagadnęła ich poważna gospodyni, ze wsi! Axel spłonął rumieńcem, Inga pomyślała: „to pewnie jego Pani, bogata wdowa, Hamarby.

— „Nie chciałam", — ciągnęła dobrodusznie gospodyni — „aby się z was naśmiewali, wyglądaliście, jakby jedno drugiemu włosy wyrwać chciało"...

Zawrócili we trójkę w stronę kościoła: najprzód wieśniaczka, potem on, nie mówiąc sło-

wa do Ingi, jakby się Bóg wie czem, zmęczyli.

Wdowa, na progu, zagadnęła Axela: — „Spotkałam tutaj twego ojca, spytałam, czy nic nie ma przeciwko temu, byś u mnie pozostał na rok przyszły. On przytaknął, a więc zostaniesz“...

Odetchnął, jakby z głębokiem westchnieniem smutku, że przecież nie skorzystał z samotnej chwili. Nie może odpowiedzieć, iż Inga będzie w jesieni jego żoną, boć się jej nie oświadczył, ni też wziął z jej ust przyrzeczenia.. Na odpowiedź, znalazł słowa zwątpienia: „nie, nie“... jakiem jęknął!

Pocieszało go, że w tem nie było jego winy! Chciał jej być wiernym, ale kto był tym „kimś“, który mu stanął na przeszkodzie, w ostatniej chwili wyznania?

Te rozmyślania zaprowadziły go z wdową do świątyni.

Patrzyła na to Inga, myśląc, że lepiej, iż ci dwoje, tam razem zginęli... Sama usiadła w tyle, niepostrzeżenie zatopiwszy się w myślach: „dlaczegóż się tak stało, wszak z nią była wiosna, a jej siła potężniejszą od umarłych?!“

Tak się jej marzyło o wiośnie, kiedy budzi na grobach zeschłe listki, badyle, a nawet o mało, że i umarli nie powstają do tej wiosny słońca!...

Ale przecież nie władnie ona — wiosna, tak

potężnie, aby umarłych zbudzić, jej siła tym, którzy skrą życia się palą, a co zmarłe, musi tam w grobie śnić nocą, bez słońca...

A nagle posłyszała, by szept duszy: „tak, jak z miłością Axela do cię — — — ona żyła dawniej, dzisiaj umarła, więc jej i wiosną nie zbudzi“ — — —

Marzy tak, marzy podczas mszy świętej. Co zmarło, nie powstanie!

Łka rzewnemi łzami! Kiedy jej myśli jeszcze o nim — — — Jakaż to boleść, kiedy nam „coś“, wyrwie niepostrzeżenie, szczęście — —

Po nabożeństwie, udała się na cmentarz, by zerwać gałązkę, okrytą kotkami wikliny. Szeptała jej: „Wiosno, tyś go chciała zbudzić — nawet wcześniej przyszedł do kościoła... ożył, kiedy na mnie się patrzył żar go palił tęsknotą — miłością... Aliści, nie było w nim wiosny — miłości! ta już obumarła w jego sercu, a tylko dawna odblaskiem wiosny — młodości, zalśniła na krótko by łza-rosa, na listkach, na grobie...

Położyła rękę na białym nagrobku, dużym: „Wam, umarli dziękuję, żeście nas rozłączyli. W jego sercu był grób tylko — — — nic więcej! a młodość tam obumarła, o dobrze, dobrze, że się tak, a nie inaczej stało!“

SPIS RZECZY: